

## O sentymencie myśliwskim

Na czym polega urok polowania, w czym tkwi sentyment, o którym wspomina ś. p. Julian Ejsmond w jednym ze swych pięknych utworów, mówiąc o łowach na Kresach Wschodnich?

Oczywiście, że nie w ilości dawanych strzałów, nie w mnogiej liczbie spotykanej i napędzanej zwierzyny, nie w łatwości jej zdobycia, a mniej jeszcze w udogodnieniach samego procesu polowania. Chociaż są to wszystko względy nie bez znaczenia, niemniej jednak dla prawdziwego myśliwego tylko o znaczeniu ubocznym.

Nie pogardzamy niemi, nie unikamy ich, przeciwnie: — w żebraczej doli współczesnego myśliwego



jesteśmy radzi, gdy szczęśliwy los chociaż niemi nas obdarza.

Mnóstwo różnych wrażeń, które odczuwamy na polowaniu, w znakomitej większości wypadków zapominamy jak sny zaraz po przebudzeniu. Nieliczne z nich tylko zapadają w duszę, a wyjątkowe pozostają w pamięci na całe życie. To też te właśnie stanowią owe cenne klejnoty, które w różańcu przeżytych przygód myśliwskich, jak wiecznie żywym ogniem lśnią brylanty, przetykają zwykłe szare paciorki.

Szczęśliwy myśliwy, gdy wiele ich zdobył, gdy w jego łowieckim „gaudeamus”... „złotych wspomnień cały rój” już „nie zagaśnie w duszy”...

Sięgnijmy do pamięci, a niebawem się przekonamy, że nieodzownie wiążą się te wrażenia z terenami, w których zabobrość ludzka nie zdążyła jeszcze zniszczyć prawdziwego piękna pierwotnej, dziewiczej przyrody, gdzie z dechem lasu wchłania pierś

ożywcze powietrze pierwotnego jego oblicza, stanowiącego źródło i tło, z którego tylko mogły powstać podobne przeżycia!

Nie wśród kulturalnych pól i łąk, nie w sianach i sadzonych lasach, przekształconych ręką inżyniera leśnika na „powierzchnię produkującą drewno”, nie w osmarowanych lepem drzewostanach w celu połowu rozwielnionego tam robactwa, pomimo nawet największych ilości hodowanej w nich zwierzyny, gdy się lufy rozgrzewają od strzałów, goręcej zabije i „do gardła podejdzie” serce myśliwskie!

Próżnobyśmy tam tych wrażeń szukali. W tych środowiskach spotkać nas mogą tylko chwile miłe, spędzone w dali od złego miasta, szarego życia i zwykłych a dokuczliwych trosk dnia powszedniego.

„Wielkie łowy” są nieodłącznie związane z dziką przyrodą, z pewną trudnością zdobycia zwierzyny, z różnorodnością spotykanych gatunków oraz z możliwością ujrzenia przed lufą najgrubszych okazów łownego ptactwa i zwierząt, z ostępami, w których są widoki, że zamiast przewidzianego w programie szaraka, bażanta lub rogacza, wyjrzy z za wykrotu trójkanciasty łeb wilka, okrągła głowa rysia, chyżym lotem przemknie białoruda pardwa, lub z furkotem jak duszek leśny mignie w gąszczu jarząbek.

Gdzie, z chwilą przebycia ostatniego grząskiego wyboju, przeskoczenia bryczki przez ostatni okrągłak na grobli, szczęśliwie bez połamania resorów i wykręcenie nóg koniom, zrywa się ostatnią łączność ze „światem” i zostawia się „życie” za sobą na drugim końcu karkołomnej drogi, — tam wdycha się pełną piersią ożywcze powietrze przepojone zapachem żywicy i mszarnego moczarów, łączy się w jedną wielką harmonijną całość z pięknem i potęgą otaczającej dziewiczej przyrody...

Tam, gdzie rzeka rwąc i szumiąc niesie wziębrane wody, szeroko wylewa je z brzegów, tworzy błękitne lustra, wrzynające się w nadbrzeżne lasy... Gdzie nad szerokim przestworem wiosennych wód roi się od przeróżnego ptactwa... Gdzie stada kaczek, począwszy od barwnych zielonogłowych krzyżówek, lśniących szmaragdem skrzydeł ozdobnych cyraneczek, bystrych cyranek, kolorowych bostynów i licznych wędrownych odmian, świszcząc i warcząc skrzydłami przelatują ponad powierzchnią błękitnej toni, napelniając powietrze życiem i gwarem... Gdzie krążą u brzegów, zwołując się melodyjnym rzewnym głosem wielkie kulony, w szuwarach huczą tajemnicze bąki, pary gniazdujących żorawi wygrywają głośne fanfary,



w promieniach słońca śmigają ponad perlącami się falami białawe rybitwy, a powyżej w błękitie krążą rybołowy i kanie... Gdzie w pobliskiej olszynie o wieczornym mroku ciągną słonki, a rój lśniących granatem cietrzewi wygrywa miłosną pieśń na sąsiedniej łące. Gdzie na mszarze, na karłowatych rozłożystych sosnach tokują głuszcze, a wśród czerwieni hałych mchów śmieją się i płaczą białoskrzydłe pardwy; gdzie od pierwszej chwili przyjazdu, w odcieciu od ludzi i świata grząskiem groblami, stanowiącymi jedyną drogę poprzez otaczające bajory i bagna, wzbiera serce i raduje się dusza myśliwska...

Gdzie pierwszy powiew, zwiastun przebudzającego się dnia, przeleci cichym szelestem po wierchołkach dębów-olbrzymów, zaszumi w żółknących liściach, sztucer zawisnie na ramieniu, wzrok pograży się w mroku, a wąska, czarna, przysypana liśćmi ścieżyna zaprowadzi w głąb puszczy... U-o, U-o, zawabi wabiarcz, a cichem echem las mu odpowie i wtem jak prąd elektryczny przemknie przez ciało, gdy rosochaty łosć stęknie w głuchym ostępie...

Gdzie las spowity białym, śnieżnym całunem; powyginane i przysypane gałęzie krzewów tworzą girlandy, iskrzące się w zimnych promieniach słońca. Jak białe kolumny stoją zadumane pojedyncze świerki, a ponad niemi zwarte, oszroniałe konary sosnowego boru. Gdzie żaden głos nie przerywa ciszy, żaden dźwięk jej nie zamąca... Słyszysz się własny oddech i bicie własnego serca — i wtem z oddali doleczą melodyjne tony myśliwskiego rogu — i znowu cisza — chwila naprężonego wyczekiwania — w głębi ostępu, na białym jego tle poruszy się szary cień, przesunie i zniknie — już idzie, zbliża się, stanął i wypatruje. Trójkanciasty łeb opuścił ku ziemi i wie- trzy, podniósł głowę i skierował przenikliwy wzrok

wprost na stanowisko — zobaczy, rozpacz już duszę ogarnia — lecz nie, nie zauważył — idzie truchtem — już jest — suchy trzask sztucerowego strzału...

Tam, gdzie w gwiazdzistą noc, po oślizgłych, mchem porośniętych kładkach, poprzez rojsty i moczary wiedzie wąska drożyną, na wschodzie zapalają się świetlane blaski różowiejącej się zorzy, budzi się las, a z głębi tonącej jeszcze we mgle i mroku puszczy przemówi do nas ledwie uchwytnie pierwsze kłapięcie królewskiego ptaka, spłynie czarowna jego pieśń z tajemniczym szlifowaniem na końcu i niebawem w pierwszych przebłyskach powstającego dnia zarysuje się na tle seledynowego nieba czarna sylwetka roztokowanego koguta...

W lasach, w których jak wąż wiję się kręta droga do stanowiska poprzez olchy i łoży od ostrówka do ostrówka, pokrytych wiekowymi rosochatymi dębami, starymi osinami, przetkniętymi tu i ówdzie świerkami i sosną, a oko myśliwskie raduje się na widok licznych śladów łosi, dzików-odyńców oraz lekkich tropów aksamitnych łap rysia. Przed stanowiskiem piętrzą się zwały dawnego pokolenia cbumarłych olbrzymów, korzenie drzew powyrywanych przez wichry i burze tworzą fantastyczne kształty, wśród których wypatruje oko myśliwskie tych miejsc, kędy mógłby się ukazać zwierz upragniony...

\* \* \*

To są te łowiska, za którymi tęsknimy, a jest ich coraz to mniej! Przed kulturą i worywującym się plugiem ustępują puszcze — resztki ich tylko pozostały na naszych Kresach Wschodnich, gdzie też wrażliwa na piękno dusza poety wyczuła najdroższy dla nas myśliwych sentyment.

